Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 18-go Marca 1897. **Nr. 11.**

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Wilk i skowronek.

(Dokończenie.)

Nie posiadający się prawie z radości skowronek, nie mógł się dosyć nadziękować swemu wybawcy: »na! pójdź, pójdź, rzecze, cokolwiek teraz zapragniesz, otrzymasz odemnie«.

»Nad to, co dawniej, nic więcej nie żądam« odrzekł wilk i postępował dość sporym krokiem za lecącym o cztery może łokcie nad ziemią skowronkiem.

Przybyli pod wioskę, w której się odbywało wesele. »Teraz przyjacielu«, rzekł skowronek, »trzeba nam ostrożność zachować, żeby nas nie spostrzeżono. Tam, w tym wielkim domu obiadują weselnicy; ty się zaczaj pod okno, a uważaj, jak izba będzie próżna — tylko, nie daj się widzieć«.

W godowej izbie, stał stół różnemi mięsiwami zastawiony; w około niego mnóstwo gospodarzy, gospodyń, komoszek, parobczaków i dziewek zajadało smacznie; kiedy roztworzonemi drzwiami wlatuje skowronek.

»A dy go, a dy go, schwytać tego ptaszka! — Porwali się wszyscy, gonią, uprzedzają; a wilk co chwila zajrzy oknem, a ślinka z ust mu ciecze. Nie daj, nie daj, bo ucieczе«. Ptak wyleciał do sieni. Dalej wszyscy za nim. I wilk też już dłużej nie czekając, buch oknem do chałupy, i nuż zajadać czerninę, pieczeń wołową, schab i placki; w oka mgnieniu był syty; więc powywracawszy wszystko, znów swoim wchodem wyskoczył, w nogi mój drogi! Spostrzegłszy to baczny skowronek, wyleciał takoż dymnicą na dwór.

»A dy go, a dy go, bo ucieczе, bo ucieczе. Masz tedy! nie mówiłem? nie było to zatkać tej dziury?«

Tak wołali godownicy, kiedy nasi podróżni już dawno byli w zapłotkach.

»Oj najadłem się porządnie, ale mi się też teraz pić, pić chce okrutnie«.

»I to będzie, tylko cierpliwość i ostrożność zalecam. Skryj się znów pod ten płot, a uważaj na drogę!

Przejeżdża z piwem do weselników parobek. Na smyku spoczywała potężna beczka piwem napełniona, na niej siedział krzepkiego wieku młodzieniec, który trzymając w lewicy topór, w prawej lejckę i bicz, leniwo ciągnącego poganiał wołu; a wygwizdywał i śpiewał ochoczo. Aż tu z nagła usiądzie ptak na biczysko. Maciek sięgnie ręką, skowronek uleciał, siada na beczkę. Parobczak nie wiele myśląc, jak się odsadzi, utnie toporem; — ptaszek uprzedził cięcie, obręcz pękła, i wszystko piwo się na drogę wylało. Nie zważa na to zapalony za ptakiem Maciоś, goni go, skowronek usiadł na grzbiet wołowi, chce go schwycić, ptak znów na rogu zwierzęcia. Kiedy się tak za nim uganda, już wilk z zapłocia wyskoczywszy, dobrze się piwa nachłeptał, i dopiero, gdy się już zabrał do ucieczki, postrzegł go Maciоś. Wilk, wilk! począł więc wołać; — schwytać go. Ale nim ludzie nadbiegli z gościńca, już ani widnąć wilka ani skowronka.

»Najadłem i napiłem się do sytu« mówił ziający pod szeroką w polu gruszką wilk do siedzącego obok na kamyczku skowronka, ale bym się też teraz chciał ucieszyć«.

»Będzie i zabawa, przyjacielu, ale nam trzeba czekać do jutra«.

Strudzone wilczysko usnęło smacznie, bo też już było późno w wieczór. Skoro się na niebie pierwszy brzask ukazał, obudził go towarzysz i znów udali się w podróż. Wkrótce przybyli pod małą stodółkę, w której stary Tomasz z synem swym Jackiem wymłacali resztę pszenicy.

»Teraz przyjacielu« rzekł skowronek, »zaczaj się pod tę wrótnią, i patrz

szparą do stodoły, a będziesz miał uciechy zadość«.

Wilk się też zaraz rozparł, aż deski trzasły, nos wścibił w szparę i patrzy, kiedy skowronek roztwartemi z drugiej strony wroty wpada do stodoły, i wypoczywającym młockarzom usiadł na cepę.

»Wolno, wolno tatusiu, schwytamy go!« rzekł Jacek, i czai się, czai, cap! — ale się spóźnił, bo już ptak siedział na belce. Dalejże teraz obaj do niego, podeszli krok, łupną obaj cepami, ale obaj chybili. Starego Tomasza znudziła wreszcie ta gonitwa, oparłszy się więc na cepę, patrzał z uśmiechem na uganiającego się za ptakiem syna.

Ten zaś niezmordowany biegał z wyniesioną do góry cepą od końca do końca, aż ptak usiadł ojcu na czapkę. »Czekajcie, czekajcie, a nieruszajcie się tatusiu, bo teraz już mój«. Jak się odsadzi, jak machnie, — skowronek wrotami wyleciał, a ojciec upadł na ziemię od uderzenia. Wtedy dopiero wilk za wrotami jak się weźmie śmiać, ha, ha ha! — Utulić się nie mogąc, rzucił się o ziemię, łapy zadarł do góry, a śmiał się, a śmiał się. Byłby jeszcze dłużej się cieszył, ale w tem zapiszczał skowronek: uciekajmy, bracie, bo śmierć nad nami! Ledwo też umknęli kilka staj za wieś, kiedy wypadła gromada chłopów z cepami, widłami, drągami, wołając: wilk, wilk! A wilk ścierał do lasu, aż ziemia pod nim stękała; — a nad nim skowronek.

Lecz, gdy już byli w bezpieczeństwie, odetchnąwszy sobie nieco, rzekł wilk do drobnego towarzysza: »teraz już mam wszystkiego dosyć, braciszku, dziękuję ci serdecznie. Leć teraz sobie do twoich małych, a ja też w moją stronę się udam«. Pożegnali się czule: poczem skowronek wesoło nucąc furknął w powietrze na polu, a wilk wolno krocząc znikł wkrótce w gąszczach leszczyny.

Celniejsze zwyczaje i obyczaje polskie.

Zapustki, ostatki. Wiadoma rzecz, że w zapusty panuje wielka wesołość, a mianowicie w trzy dni ostatnie przed postem, zwane ostatkami, dniami szalonemi lub kusemi. Są to niewątpliwie zabytki jeszcze z pogańskich czasów. Zdaje się, że Pust oznaczał dawniej bożka wesołości, ztąd powstały wyrazy: pustota, rozpusta, zapusty. Dawniej w Krakowie w tłusty Czwartek odbywał się babski cąber. Zgromadzały się przekupki i różne kobiety z pospólstwa, które sobie obierały marszałkową. Tańczono na rynku i śpiewano pieśni cąbrowe. Zabawa zasadzała się głównie na tem, że baby goniły za chłopakami i wogóle nieżonatymi i przywięzywały ich do kloca, albo stroiły w wieniec grochowy za karę, że się nie ożenili. Trzeba się było okupić.

Z przedmieścia Piasek ciągniono bałwana ze słomy, którego na rynku przed Sukiennicami w kawałki rozrywano. Wesołe kumoszki zapijały gorzałeczkę. Dziś już ten zwyczaj nie istnieje.

W niektórych wsiach krakowskich przedstawiają parobcy kozę. Chłopak, który ją przedstawia, jest cały nakryty kocem kudłatym, albo derą lub kożuchem, wywróconym sierścią na zewnątrz; chodzi na trzech nogach, tj. ma jednę nogę na przodku a dwie z tyłu, ogon kudłaty i dzwonek u karku, kwiateczek czerwony na czole. Prowadzi tę kozę czterech chłopaków, którzy z nią chodzą po chatach przy odgłosie muzyki. Koza pokazuje różne sztuki, beczy ludzką mową, że głodna i. t. d. Podobna zabawa istnieje także w Kujawach.

Kurek, kogucik. W ostatni Wtorek parobczaki obwożą na dwóch kołach drewnianego kurka, zapraszając dziewki i gospodynie na ucztę. Dostawali za to jaja, ser, masło, kiełbasy; wieczorem wyprawiali w karczmie spólną wieczerzę. Zwyczaj ten utrzymał się jeszcze w niektórych miejscach, n. p. w Kaliskiem.

Judaszki. Utrzymał się jeszcze w niektórych okolicach zwyczaj, że w wielką Środę chłopaki robią bałwana, który ma przedstawiać Judasza. Wloką go chłopacy na wieżę, zkąd go zrzucają.

Prima Aprilis. W dniu 1 Kwietnia panuje zwyczaj zwodzenia, który zapewne przeszedł do Polski od Rzymian.

Rezurekcya i święcone. Groby Pańskie po kościołach ściągają liczne tłumy wiernych i w wielu kościołach stoją na straży tak zwani Turcy. Rezurekcya odbywa się uroczyście w Wielkanoc, po miastach czasem już w wielką Sobotę. Po rezurekcyi w całej prawie Polsce zasiadają wszyscy do święconego. Jest to rzewny czystopolski zwyczaj, nieznany w innych krajach, którego początku należy szukać w słowiańskiej gościnności. Jak w dzień wilii Bożego Narodzenia dzieli się gospodarz z domownikami i gośćmi opłatkiem, tak w Wielkanoc święcone jajko zastępuje opłatek. W naszym kraju zwyczaj ten bez wątpienia przechodzi częstokroć właściwą miarę; nada-

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 18-go Marca 1897. Nr. 11.

„Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczce (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

LEGENDA O ZEGARZE.

OPOWIADANIE Z PRZESZŁOŚCI.

W posiadaniu rodziny Debułtyckich był od dawnych lat starożytny zegar ścienny. Przedstawiał on meczet czyli świątynię turecką. Mistrzowskiej ręki było to dzieło; wskazywał godziny, minuty, sekundy, dnie i wszystkie obroty księżyca; z mosiądzu czy z bronzu zrobiony, grubo wyzłacany, delikatnej nadzwyczaj rzeźby, jako przedmiot kunsztu był nadzwyczaj wielkiej ceny.

O tem zegarze opowiadał Starosta, co następuje:

»Uważałeś może waszmość między portretami familijnymi jeden, wystawiający rycerskiego męża z wystrzelonem okiem; był to przodek mój po kądzieli, bo od jego córki idziemy. Otóż urodził on się czy w początkach panowania Władysława IV-go, czy przy końcu rządów Zygmunta III-go; za Jana Kazimierza był już podobno pułkownikiem w wojsku, a za Michała Korybuta czy Jana III-go został kasztelanem chełmskim.

»Szalonej odwagi i siły niepospolitej w tych czasach ciągłych wojen to ze Szwedem, to z Kozaczyzną, to Bisurmanami, miał pole zadosyćuczynić wojowniczej swojej żądzy; cały też prawie żywot swój spędził w obozach i umarł jak żył, to jest z bronią w ręku. Łagodność nie była jego cnotą i mówią, że często jeńcom pardonu dawać nie kazał, a raz podobno miasto jakieś szturmem zdobył i w pień wyciął.

»Był on po dwa razy w niewoli bisurmańskiej, kilka osób z jego rodziny w wojnach z nimi życie utraciło. Wspomnienia więc przeszłości i własna bieda, jakiej między poganami doznał, wzbudziła w nim nienawiść do imienia bisurmańskiego, co więc z nich w ręce mu popadło, rzadko żywe ostało. — W obozie pod Żórawnem, kiedy wielkiej pamięci król Jan, z kilku tysiącami zbrojnego ludu opierał się krociom Turków i Tatarów, był i pan Kasztelan Chełmski z pułkiem swoim. Wyjeżdżał co dzień za okop i na harc Turków wyzywał i zawsze jakiegoś sprawił, bo był do korda zuch wielki. Było tego długo, bo oblężenie z miesiąc trwało, aż dnia jednego dowiedziawszy się, że to nadchodzi jakieś święto tureckie, i że oni dzień ten cały i noc na modlitwie i biesiadzie spędzać mają, idzie do króla i prosi, żeby mu pozwolił z ludem swoim wpaść w nocy na obóz turecki, zapewniając, że obejdzie błota, na prawem skrzydle obozu będąc, i z tyłu na nich natrze. Król wysłuchawszy go, dał swoje przyzwolenie, i p. Kasztelan w kilkaset koni, ku wieczorowi ciągnął nad błotami na tyły tureckie.

»Znał on sam dobrze miejscowość, a i przewodników miał z sobą; przeszedł naddniestrzańskie łozy, wszedł w nieduży las, a kiedy z niego wychodził, spostrzegł przed sobą łunę na niebie, zatrzymał swój oddział, a sam wyjechał

na wzgórek, żeby rozeznać coby to było i ujrzał nieprzejrzane okiem koczowisko tureckie, oświecone tysiącem obozowych ogni; poznał więc zaraz, że już im z tyłu zaszedł.

»Wrócił do swoich, sprawił ich do boju, zostawił pod wodzą któregoś z rotmistrzów, a sam z jednym towarzyszem, który jak on sam po turecku mówił, jechał naprzód, żeby sprzątnąć czaty, gdyby jakie napotkał.

»Turcy z tej strony nie spodziewając się napadu, niewiele ostrożności zachowali, a potem szanując święto, jak najmniej w dniu tym ludzi do służby obozowej odrywali; najechał tylko jakiegoś Spaha, który zaledwie słów parę wybełkotał, szabla Kasztelana zamknęła mu mowę na wieki, a towarzysz uchwycił konia, żeby wpadłszy do obozu, nie zbudził czujności biesiadujących Turków. Czaty były rzadko rozstawione, skoro więc jednę sprzątnął, śmiało tą luką spieszył do obozu tureckiego. Nadjechali już tak blisko, że mogli rozeznać twarze siedzących przy ogniu Turków, jak piekli barany i zajadali je smacznie.

»Kasztelan zatrzymał swoich i oczyma szukał miejsca, gdzieby wpaść mógł najłatwiej; po chwili podniósł szablę do góry, kilkaset głosów wykrzyknęło hura! Turcy się pozrywali na nogi i uciekają, a tu szeroko rozwinięty oddział Kasztelana zagarnia ich, tratuje końmi, kopiami do ziemi przybija, i jak rozhukana fala sunie na karkach tureckich w środek obozu.

Kasztelan zeskoczył z konia, porwał głównię z ogniska, i krzyknął na swoich: »Podpalaj!« kilkudziesiąt towarzystwa poszło za przykładem wodza i wszczął się pożar straszny, a przesądnym Turkom zdało się, widząc wśród płomieni błyszczące zbroje Kasztelana i jego towarzyszów, że to Azrael, duch złego, co śmierć przed sobą, a zniszczenie za sobą niósł w ich obóz. Okrzyk natarcia, przeraźliwy gwałt uciekających poruszył cały tabor; ze wszystkich stron odezwały się chrapliwe trąby jańczarów, spahów i głuchy huk kotłów; migają zielone turbany agów, głos ich wzywa wyznawców Proroka do obrony, ale napróżno: przestrach ogarnął wszystkich, kupią się, potrącają, i jedni drugich pchają pod kopyta końskie, a niewolnicy polscy, a raczej lud wiejski, który Turcy uprowadzili i tysiącami trzymali w obozie, widząc popłoch między niewiernymi, zaczęli rwać więzy swoje i broń wyrywać strażnikom i biegli do Kasztelana, wołając:

»Ot, tam namioty Szejtana Baszy, poprowadzimy cię, panie!« Kasztelan zwrócił konia w kierunku mu wskazanym i pędzi ku namiotom; dopadł jednego z nich, ciął szablą, a przez otwór uderzył go blask i światła i ujrzał siedzącą na wezgłowiu kobietę w bogatym stroju, koło niej klęczące dwie czarne niewolnice, a obok nieduży chłopiec. Domyślał się Kasztelan, że to musi być syn Szajtana, zeskoczył z konia, uwolnieni więźniowie rozdarli szerzej otwór w namiocie szablą zrobiony, a otworem wpadł Kasztelan z zakrwawionym pałaszem i porwał za gardło chłopca, który nawpół nieżywy, patrzał osłupiałemi oczyma w miedzianą twarz Kasztelana. Ten oddał go swoim, potem obejrzał się dokoła, a widząc ten zegar na trojnóżku stojący, wziął go, równie jak kobierzec, na którym spoczywał, jako dowód, że był w namiocie Baszy. Cała ta rzecz w mgnieniu oka się zrobiła, a przerażona Turczynka padła na kolana przed Kasztelanem i błagała, by jej oddał syna. Na całą odpowiedź kopnął ją nogą, a rozjadły wykrzyknął:

»Upiec go każę żywcem i psom na pastwę rzucę! powiedz to Szejtanowi od Kasztelana Chełmskiego«. To wyrzekłszy, szedł ku otworowi namiotu, a zbolała matka zawołała:

»Bodaj ten zegar tobie i twemu rodowi w godzinę śmierci przydzwaniał, kiedyś nie wysłuchał próśb matki za dzieckiem«.

W pierwszym momencie nie zważał na to Kasztelan, dosiadł konia i przerzynał się w kierunku obozu polskiego, a oddział jego znacznie zwiększony uwolnionymi Polakami, co koni i broni tureckiej dopadli, słał drogę trupami i torował sobie przejście.

W obozie polskim z niecierpliwością oczekiwano skutku wycieczki Kasztelana, a kiedy ujrzano łunę i gwar napadem spowodowany, uderzono z dział i wypuszczono ogromne bomby, które Kątski jenerał od armaty gdzieś w lochach zamkowych znalazł, a które pękając z łoskotem wśród Turków, nasunęły im myśl, że królowi posiłki nadeszły. Ale nie na tem ograniczył król Jan pomoc swoję: wysłanych kilka chorągwi na wsparcie Kasztelana z oddziałem o kilka razy liczniejszym niż wyszedł, a którego nie gonili wcale osłupiałe Turki, spotkało go już wychodzącego z obozu tureckiego. Oba oddziały powitały się okrzykiem, dowódcy podali sobie ręce i zagrzmiała pieśń wojenna, której dźwięki dolatywały uszu króla Jana i jego towarzyszów i przyjemnie łechtały bohaterskie jego serce. — Kasztelan łaskawie przyjęty od króla, resztę nocy na biesiadzie przepędził, a kiedy opowiadał towarzyszom odwiedziny swoje w namiotach Szejtana, przyszło mu na myśl przekleństwo Turczynki, ale go nietylko za złą wróżbę dla siebie nie poczytywał, ale przeciwnie, miał to przekonanie, że czyn jego i krew bisurmańska, którą przelał, robi mu zasługę przed Bogiem i obmywa winy jego.

Zdaje się jednak, że od tej chwili umysł jego był ciągle zajęty owem przekleństwem, bo i rozmawiał o tem często, a czy w domu, czy w obozie, zegar go nigdy nie odstępował. — I w kilkanaście lat później, kiedy w Weznihalu rezydując, uśmierzał zbuntowanych Kozaków pod wodzą Mohiły Hetmana i w jednem z nimi spotkaniu śmiertelnie ranny z samopału leżał w namiocie swoim, uważali przytomni, że oczy miał ciągle na zegar zwrócone. Przywołany ksiądz dysponował go na śmierć, potem robił Kasztelan rozporządzenia majątkowe, a skończywszy to, zwrócił oczy na zegar i zawołał; »Teraz, kiedym usprawiedliwił się Bogu memu i sprawy doczesne załatwił, wybijaj godzino śmierci!« A tu jakby wywołany głosem czarnoksiężnika zegar bić zaczął, chociaż daleko jeszcze do godziny było, a na pierwsze jego dźwięki usiadł na posłaniu Kasztelan, krzyż wziął z rąk księdza i zawołał: »Boże! stworzyłeś mnie, bo chciałeś, umieram, bo każesz, zbawże mnie, bo możesz!«

I upadł na posłanie, oddech był coraz prędszy i oczy widocznie gasły, zegar bił ciągle, a przytomni poklękali w około łoża i słychać było szmer ponury modlitwy za konających, któremu wtórował metaliczny dźwięk zegara. — Nareszcie Kasztelan drgnął konwulsyjnie, wyciągnął się na łóżku, zegar bić przestał, a przytomni otoczyli łoże i widzieli, że skonał.

Zegar ten był potem własnością syna Kasztelana, a kiedy ten bezdzietnie zszedł ze świata, dostał się siostrze jego, a mojej prababce i odtąd jest ciągle w domu naszym, i pamiętam w młodości mojej, że raz także dzwonił ów zegar bez ustanku, co nadzwyczajnie rodziców moich potrwożyło, a wkrótce potem nadeszła wiadomość, że dziad mój w Czerskiem żyć przestał. Odtąd, Bogu dzięki! nic więcej, jak godziny zwyczajne wybija, ale pewny jestem, że na pierwsze zdarzenie śmierci ozwie się znowu.

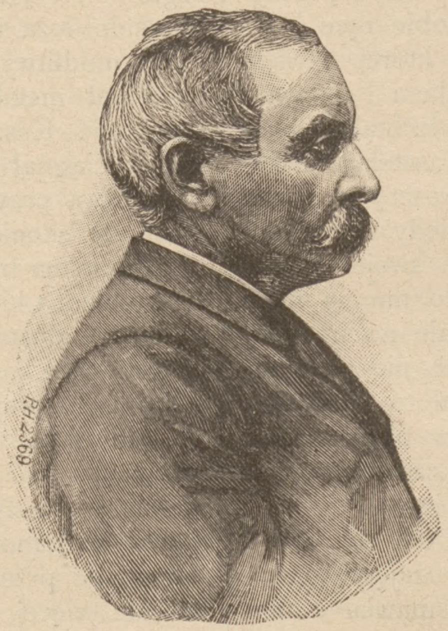
Zapewne rozum, nawet i religia nie każą temu wierzyć, ale cóż, kiedy się przez półtora wieku miało tyle dowodów, toż trudno to za wymysł uważać. Zresztą tajemne są sądy Boże, a ja nad tą całą historyą uwag nie robię, tylko opowiadam gołe zdarzenie«.

Kajetan Suffczyński (Bodzantowicz).

SIŁACZE POLSCY.

Z rozmiarów i wagi zbroic żelaznych dawnych rycerzy, oraz z wielu innych wskazówek, możemy twierdzić stanowczo, że wzrost przeciętny naszych ojców był

cokolwiek mniejszy od dzisiejszego wzrostu klas zamożniejszych, a równy wzrostowi ludu wiejskiego, siła zaś muskularna i wytrzymałość znacznie większa. Był to prosty i naturalny wynik mniejszych wygód, a większych trudów i zupełnie innego trybu życia. Częste dźwiganie zbroi, szermierka i gonitwy, zabawy łowieckie, podróże konne bez wygód, liczniejsze prace fizyczne z powodu rzadkości rzemieślników na wsi (każdy prawie szlachcic i rycerz dawny umiał np. kowalstwo), zresztą życie wiejskie zbliżone więcej do natury, niż dzisiejsze zwyrodnione po miastach — wszystko to było przyczyną, że dawniej każdy posiadał w sobie więcej energii, rycerskości, silnej woli, wytrzymałości, zdrowia i siły muskularnej. Pod tym względem ojcowie nasi stali nieskończenie wyżej od dzisiejszych pokoleń, a dawne źródła przechowały nam liczne wiadomości o ludziach wielkiej siły fizycznej i wytrzymałości cielesnej. Pomijając ustne podania, przytoczymy tu wzmianki z dawnych pisarzów naszych o ludziach, którzy nawet wśród silnych pokoleń, podziw ogólny krzepkością swego ciała obudzali:



KSIĄŻĘ HOHENLOHE,
OBECNY KANCLERZ RZESZY NIEMIECKIEJ.

1) W wieku 14 słynął Stanisław Ciołek, syn wojewody mazowieckiego. Chłopcem jeszcze będąc niedorosłym, występował na wyższe miejsce i wziąwszy w każdą rękę dorosłego mężczyznę, tłukł jednym o drugiego. Dzwon spuszczony z wieży kościoła krakowskiego wziął za ucha i do drzwi kościoła po schodach zaniósł. Miecz lub szablę skręcał w ręku na wzór powroza. Raz wróciwszy z łowów i zastawszy łaźnię zajętą przez dwóch braci ze sługami, rozgniewany, że na niego nie czekali, pochwycił budynek drewniany za narożnik i tak zręcznie przewrócił, że odkrył nagich. We wsi swojej Ostrołęce, przy stawianiu młyna, zobaczywszy kilkunastu ludzi dźwigających potężną belkę, kazał wszystkim wziąść za jeden koniec, a sam pochwyciwszy drugi, przeniósł z nimi i zadał ją na ścianę. Kiedy ścisnął w dłoni świeże drzewo, to ciekł z niego sok jak z gąbki. Tak zwane leziwa czyli grube sznury z konopi lub łyka plecione, na których wciągają się i zawieszają bartnicy przy podbieraniu miodu w barciach leśnych, rwał jak nici. Kuszę (łuk) najtęższą samemi tylko rękoma i nogami, bez lewara, naciągał. Dwie podkowy rozciągał lub kruszył. Oznaczywszy krótką szablą koło na ziemi, nie dał się z niego wyciągnąć za sznur 12-tu ludziom. Kiedy z Kazimierzem Wielkim był w Pradze i poszedł w zapasy ze słynnym jakimś siłaczem, tak go ścisnął, że biedny Czech ducha wyzionął. Mazur ten wysłany roku 1356 dla obrony Wołynia przeciw Tatarom, którzy Włodzimierz opanowali, poległ pod Włodzimierzem śmiercią bohaterską.

2) Wojciech Brudzyński, dworzanin królów Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta I, jak zaświadczają Marcin Bielski i Bartosz Paprocki, sześciu mężów w całkowitych zbrojach na barkach swoich dźwigał, a siedząc na koniu, gdy chwycił się rękami belki wjazdowej, konia swego w górę nogami z ziemi unosił.

3) Tę samę sztukę pokazywał i Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, znany z tego, że wozy w biegu ująwszy za tylne koła zatrzymywał i żubra o-

szczepem osadził, który na króla Zygmunta Augusta miał uderzyć.

4) Król Zygmunt I żelazne podkowy łamał, postronki zrywał, napinał kuszę bez lewara i talią kart przedzierał.

5) Wojciech Lachocki, cześnik ziemi Dobrzyńskiej, w pełnej zbroi przeskakiwał konia i wozy.

6) Janusz II, ostatni książę mazowiecki, zmarły roku 1526, miał być równie silny jak Zygmunt.

7) Stanisław Radzimiński, kasztelan zakroczymski za Zygmunta Augusta — jak pisze o nim Bartosz Paprocki, który znał go osobiście — najtęższego chłopa bujał na dłoni a konia rozhukanego chwyciwszy za łeb i uszy, dotrzymał, póki masztalerz uzdy nań nie włożył, poczem dziki rumak szedł pokornie, bo mu łeb i uszy spuchły.

8) Marcin Brzozowski z Brzozowa w ziemi Gostyńskiej, zwany Kapturem, wziąwszy beczkę piwa na ramię, swobodnie z nią tańczył dokoła stołu.

9) O Wojciechu Chodzickim z wojew. kaliskiego zaświadcza Paprocki, iż taką miał siłę w głowie, że wybijał nią bramy z zawias.

10) Jakób Niezabitowski z wojew. lubelskiego, w drugiej połowie 16-go wieku słynął z odwagi, męztwa, siły i olbrzymiego wzrostu. Był postrachem Tatarów, których gromił z małą garścią swoich pod Zbarażem i Skoworodkiem. W wyprawach Batorego pod Wielkiemi Łukami i Pskowem świetnie się odznaczył. Bielski wspomina o nim z uwielbieniem.

11) Ścibor, herbu Ostoja, rzekę Dunaj w zbroi przepłynął.

12) Teodor Lacki, znakomity wojownik z czasów Batorego i Zygmunta III, zasłynął z olbrzymiej siły nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Bawiąc w Wenecyi, chwycił wołu, który się rzucił na niego, powalił na ziemię i kark mu złamał, wozy w biegu za koła wstrzymywał, dąb, który mógł dłonią objąć, z ziemi z korzeniem wyrywał. W ciągnieniu kuszy nie miał sobie równego, a gdy raz w obec Batorego, przy pośle tatarskim, zdumiał obecnych celnością strzałów z łuku, król podarował mu dzielnego wierzchowca. Przez lat 20 służył krajowi orężem i mieniem, bo własnym kosztem chorągiew husaryi wystawił. Odniósłszy pod Kircholmem w udo dwa postrzały od kul, mimo to nie zsiadł z konia i jeszcze dwie mile pędził uciekających Szwedów.

13) Rodzona siostra Teodora Lackiego, poślubiona Eliaszowi Pielgrzymowskiemu, pisarzowi litewskiemu, słynęła również ze swej siły.

14) Wojciech Padniewski w boju na Wołoszczyźnie, jednym zamachem korda ściął Turczynowi głowę razem z ręką do pachy.

15) Eustachy Tyszkiewicz, wojewodzic brzeski, spotkawszy niedźwiedzia na łowach, miał zwyczaj rozdraźnić go, a gdy bestya stanęła na łapach, łeb mu wtedy ścinał.

16) Tomasz Olędzki, kasztelan zakroczymski, pięć talarów bitych, jeden na drugi położonych szablą przerąbywał.

17) Szlachcic litewski Odyniec, uderzał z oszczepem sam jeden na niedźwiedzi i zawsze ich pokonywał.

18) Druszkowski, proboszcz bochotnicki, kiedy mu napuszczono cudzych koni do ogrodu, przez mur je powyrzucał.

19) Po śmierci Ziemowita i Władysława, książąt mazowieckich, macocha ich a wdowa po Michale ks. litewskim, roszcząca prawo do spadku po pasierbach, roku 1462 zebrawszy szlachtę z ludem zbrojnym w Płocku, wyruszyła na jej czele do Rawy i usiłowała zamek rawski siłą oręża zdobyć.

20) Cymbarka, księżniczka mazowiecka, córka Ziemowita i Olgierdówny, roku 1412 zaślubiona Ernestowi Żelaznemu, matka cesarza Fryderyka III, laskowe orzechy w palcach gniotła i pancerze łamała.

21) Grabowska w wojew. poznańskiem i panna Barska w kaliskiem, ścisnąwszy garść orzechów laskowych w dłoni, olej z nich wyciskały.

22) Żagiel, szlachcic litewski, podskakiwał dźwigając czterech ludzi na swych barkach.

23) Komorowski z Komorowa w Kujawach podkowy łamał bez wysiłku.

24) Niemiłej pamięci August II Sas, od wielkiej siły fizycznej dostał nawet przydomek Mocnego. Za jednym zamachem ścinał on głowy bydlętom, czego dokonał raz na zjeździe z Piotrem I w Rawie (ruskiej). W Gdańsku, działko falkonetem zwane, podnosił jak pistolet.

25) Przewyższał Augusta siłą Marcin Cieński z Cienia w Sieradzkiem, dzielny wojownik z czasów Sobieskiego a regimentarz za Augusta II. Gdy raz król zaprosił go do siebie i zapragnął widzieć dowody jego siły, regimentarz podane sobie sztaby żelazne pozakręcał na szyi dwom królewskim drabantom, którzy stali na warcie. Gdy król sam nie dał rady szyn tych odkręcić, posłano po znanego z siły kowala. Ale i ten nie podołał, mówiąc, że chybaby łby w ogień wsadzić i szyny rozgrzać, aby drabantów z żelaznego jarzma oswobodzić. Wtedy dopiero Cieński rozwinął sztaby z łatwością i pokazał, że od króla i kowala jest silniejszym.

26) Córka tego walecznego regimentarza odziedziczyła po ojcu także niezwykłą siłę. Opowiadano, że gdy raz w jej domu powadziło się z sobą dwóch szlachciców, pogodziła ich, wziąwszy razem za pasy i wyrzuciwszy przez otwarte okno do ogrodu.

27) Helena Ogińska, sławna z cnót, siły i nauki, córka Kazimierza Ogińskiego, wojewody wileńskiego, małżonka Ignacego Ogińskiego, kasztelana wileńskiego, podczas wesela królewicza saskiego Fryderyka w Dreźnie r. 1719, na sławnym karuzelu, przez młode damy odprawionym, mając lat 18, wszystkie rycerskie sztuki z taką zręcznością i podziwem wszystkich odbyła, że pierwszeństwo i wyznaczoną nagrodę otrzymała. Żyła lat 90, a w podeszłym już wieku talerze srebrne w trąbkę zwijała i rozwijała, talary łamała.

28) Jan Kopczak, z pochodzenia chłopek, słynął z siły na dworze Stan. Leszczyńskiego w Lunewilu; karetę ministra Bryla zagrzęzłą w błocie sam wyciągnął; umarł jako piwniczy u het. Branickiego w Białymstoku.

29) Następny przykład wytrzymałości podaje Długosz: »Gdy roku 1438 Tatarzy dobijali pojmanych jeńców polskich — Jan Włodkowicz herbu Sulima, po odniesieniu ran mnogich, leżał między stosami trupów udając nieżywego. Odarli go do naga pohańcy, lecz gdy ściągali obuwie, a sprzączki puścić nie chciały, przerznęli je wzdłuż, tak, iż miecz narysował na nogach głębokie rany. Gdy pierścienia, który miał na palcu zdjąć nie mogli, ucięli go z palcem. Taką bohaterską cierpliwością przytaiwszy ducha w męczarniach, uniknął śmierci, lub gorszej niż śmierć niewoli.« Blizny te na ciele jego oglądał później sam Długosz. Przez ćwiczenia rycerskie wyrabiali w sobie Polacy zadziwiającą zwinność i zręczność. Wojciech Łachocki, podczaszy dobrzyński, ubrany w ciężką zbroję, lepiej i dalej jak koń skakał. Mikołaj Pieniążek za króla Stefana, trzymając w kupie nogi, bardzo wysoko w zbroi podskakiwał. Gdy król Aleksander kopalnie w Wieliczce oglądał, szlachcic Jan Jordan, ubrany po husarsku, zatem w ciężkiej zbroi, mówiąc: »za zdrowie króla Jegomości!« bardzo szeroki otwór do przepaści, zwany szybem, przesadził, za co żupnikiem mianowany został.

CHŁOP I ŻMIJA.

BAJKA.

W pamiętnych bestyo-graficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym Chłopa,
I o pewnego Węża postępu łajdackim.
Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem:
Przeziębły w pół skostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,

Podściela mu kożuszek jak własnemu dziecku,
(Nie wiedząc jaką weźmie od gościa zapłatę)
Póty dmucha, póty dmucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet na-
srożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął,
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela,
I wskrzesiciela!
›A to co się ma znaczyć, zdziwiony chłop
krzyknął,
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A ty żmii-synu!«
I wnet porwawszy dubasa,*)
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz w pół pasa,
Odleciał ogon w jeden a pysk w drugi kątek;
Rozpadło się żmijsko na troje żmijątek...
Darmo drgają
I biegają
Ogon za szyją, za ogonem szyja,
Już nie zmartwychstanie żmija.
Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki
Przepada marnie. *Adam Mickiewicz.*

*) Dubas, po litewsku nóż wielki, siekacz.

Kret czy jest szkodliwym i jakie jest o nim podanie ludowe.

(Pogadanka naukowa.)

Któż z was Czytelnicy nie widział czarnego ryjkowatego zwierzątka, co przebywa pod ziemią, co jest grube, krótkie a wałkowate, co zdaje się być bez uszów i oczów, a oprócz tego ma kusy ogonek i w porównaniu ze swą marną wielkością ogromne do kopania łapy?... Osobliwsze to zwierzątko można poznać od pierwszego wejrzenia.

Nazywa się ono kret.

Rolnikom zwierzątko to uparcie się narzuca i dla tego jest im znane — nie zaszkodzi przecież, gdy mu się bliżej przyjrzemy i zbadamy, jak żyje, jak mieszka, czem się żywi i co robi?

Kret ma minę wielkiego eleganta. Posiada porządne futro o gęstym, krótkawym i miękkim włosie, które błyszczy niby aksamit, a błyszczą mu też wąsy i jakby podstrzyżona cienka nad oczami szczecina. Łapy, podeszwy łap, koniec ryja i ogon ma gołe, lecz to nie psuje buńczucznej jego miny i bardzo mu z tem do twarzy, zwłaszcza iż członki te są ładnego cielistego koloru.

Wskutek braku u niego wierzchnich uszów i niewidocznych prawie oczów, ludzie dawniejsi myśleli, że jest zupełnie głuchy i ślepy. Ale to nieprawda. Choć on nie ma takich uszów, żeby mu jak u innych zwierząt z wierzchu sterczały, ma jednak uszy głębiej wewnątrz, i nawet bardzo dobrym odznacza się słuchem. Nie jest pozbawiony także i oczów; leżą one między końcem ryjka i uszami, ale że całkowicie zakryte są włosami głowy, a że tak są maleńkie jak ziarnka maku, więc nic dziwnego, że ludzie nie prędko mogli je dojrzeć. Kret zatem ma oczy i nie jest ślepy, tylko że wzrok ten jest nader słaby i ponieważ światło sprawia kretowi przykrość, bardzo też rzadko wychodzi on dobrowolnie na wierzch ziemi.

Co do rąk czyli przednich łap jego, to są one tak krótkie, że nie mogą jak należy podtrzymać brzucha, brzuch na nich wsparty, włóczy się prawie po ziemi. Łapy te przeznaczone do kopania ziemi, opatrzone są w palce uzbrojone szerokimi pazurami i są odwrócone na zewnątrz czyli na nice. Budowa tych łap wyglądających niby łopaty lub szpadle tak jest osobliwa, że od pierwszego spojrzenia na kreta — bije w oczy. Oprócz tego że kret omawianych łap używa do rycia ziemi, podaje sobie także niemi pokarm do gęby, a w razie potrzeby przepłynięcia na drugą stronę jeziorka lub rzeki, używa ich jako wioseł. Za to o ile przednie łapy są silne i szerokie, o tyle znów tylne nogi są wątłe, palce w nich rozdzielone, a pazury ostre i cienkie.

W ogóle biorąc kret ma taki skład ciała, że trudno mu przebywać na powierzchni ziemi; nie może bowiem ani skakać, łazić, ani nawet swobodnie chodzić.

To też szuka on miejsc podziemnych. Najchętniej kopie się pod łąkami, polami, lasami i dąbrowami, a mniej lubi okolice górzyste i piaski. Będąc zaś niedołężny na wierzchu ziemi, nadspodziewanie biega chyżo w podziemnych swych korytarzach. Szybkość, z jaką ryje ciemne swe lochy, jest zadziwiająca. Dopiero był tu, jeszcześ się nie obejrzał, a on het!... o kilkanaście już od ciebie łokci!... biegnie pod ziemią tak prędko, jak po dobrej drodze człowiek na koniu... Kret kopie ziemię przedniemi łapami, tylnemi zaś odrzuca ją po za siebie, a kiedy w korytarzu uzbiera się jej kupa, to dobywa się wtedy na powierzchnię i tam kupę oną wyrzuca. Po owych to właśnie kupach wyrzucanej ziemi (kopcach), oraz po tem gdzie są rośliny uschłe i ziemia zapadnięta poznać można, gdzie się krecie korytarze ciągną — a ciągną się one długo, bo od 100 do 150 łokci.

Ponieważ kret przeznaczony jest do życia podziemnego i słońce go nie obchodzi, więc też jego dzień i noc inne są aniżeli innych zwierząt i ludzi. Pracuje on »jak wół« przez 3 godziny i to jest jego dzień. Po trzech godzinach pracy śpi także 3 godziny, i to jest jego noc. Obudziwszy się, zaraz idzie do roboty i kopie dołki, dopóki znów jego noc nie przyjdzie, i tak ciągle. Pracuje w ten sposób nietylko w lecie, ale i w zimie; w zimie też często daje się widzieć, jak wyrzuca kupę ziemi z pod świeżego śniegu lub z pod zamarzłego gruntu. W pracy zaś tej podziemnej naprzemian zakopuje się bardzo głęboko, to podnosi się aż do samego wierzchu ziemi. Jak odpoczywa, to leży pod korzeniami drzewa albo w innem niedostępnem miejscu i legowisko jego łatwo poznać po znacznej wielkości nasypie. Próżnoby się jednak kusił, ktoby go chciał w legowisku przydybać; mając bowiem słuch doskonały, najmniejszy szmer odróżnia, i niebawem ucieka...

Obok swej pracowitości i przezorności kret jest posępny, okropnie swarliwy i drapieżny. Żywi się tylko pokarmem mięsnym, a rośliny za nic ma sobie i ani na nie spojrzy. Na pożywienie jego składają się różne podziemne owady, glisty, robaki (które za pomocą ostrego węchu wybornie wyszukiwać potrafi), oraz majowe chrabąszcze, liszki, ptaki, myszy, raki, żaby; jeżeli zaś podsunie mu się pod łapy drugi kret, to i tu bez ceremonii rzuca się na niego i z przyjemnością pożera brata!...

Jest on więc szkaradnie dziki, a i nienasycony; potrzebuje na nasz dzień tyle pokarmu, ile waży własne jego ciało, bez jedzenia nie może dłużej wytrzymać niż 12 godzin i po 12 godzinach głodu umiera. — Po korytarzach, które kret ryje, chodzą i inne zwierzęta: myszy, żaby, lecz wiedząc o tem, że z niemi nie żartuje, okropnie boją się z nim spotkać. Jakoż istotnie kret nietylko w korytarzu nie przepuści tym stworzeniom, ale poluje nawet na nie przy otworach korytarza. Przycupnąwszy tam, siedzi cichutko i podpatruje żaby, czy która nie idzie, a jak ją podpatrzy, rzuca się i za tylne nogi wciąga ją pod ziemię... Żaba krzyczy wtedy głośno i żałośnie, bo wie, co ją czeka, ale żadne jej prośby ani lamenta nie pomogą, kret chrup! chrup! chrup!!... i żaby już niema. A jak z żabami, tak samo postępuje ten rozbójnik z rakami i z jaszczurkami.

Bądź co bądź straszna ta żarłoczność czyni właśnie kreta p o ż y t e c z n y m t ę p i c i e l e m wrogich dla gospodarza owadów.

I dla tego, że kret jest dla nas pożytecznym, przebaczamy mu, że dokucza nam swem ryciem.

Osobliwie na polach i w liściastych lasach jest on pożądanym gościem, gdyż je starannie oczyszcza od robactwa, gąsienic oraz szkodliwych owadów. Wzruszając zaś swem ryciem orną ziemię, nawet ją czyni pulchniejszą, przez co i woda deszczowa łatwiej w nią wsiąka.



TATAR Z KAUKAZU. (Obacz objaśnienia rycin na str. 175).

A tak stworzenie to niosąc tam pomoc rolnikowi, jest prawdziwie dobrze zasłużonym jego współpracownikiem.

Inaczej rzecz się ma co do pobytu kreta w ogrodach i na łąkach. Tu jest nieprzyjacielem. W ogrodach rozrywa ziemię, w której korzonki drogich roślin czerpią pożywienie, a na łąkach, sadząc kopce czyli kretowiska, przeszkadza kosić trawę nisko i przyprawia gospodarzów o znaczne w sianie straty.

Ponieważ kret w ogrodach i na łąkach przynosi szkodę, więc tam trzeba się od niego bronić.

Dla ochronienia tych miejsc od napaści kretów jest taka rada. Należy utłuc skorup i szkła i zakopać takowe na półtorej lub dwie stopy głębokości w okół przestrzeni, którą się chce od nich zabezpieczyć, taki ostry podziemny pierścień z pewnością wstrzyma owe zwierzęta, bo skoro zaczną się przezeń podkopywać, ukłują się w ryj i z odebranych ran wkrótce pozdychają.

W celu wystraszenia kreta z jego chodników, można tam wlać także troszkę smoły zwyczajnej; albo wetknąć tam kawałek kamfory, czosnku, cuchnące raki, stęchłe żaby lub zepsute śledziowe główki. Kret obdarzony czułym węchem, nie znosi żadnego odoru. Więc gdy w chodniku zaleci go niemiły zapach od owych przedmiotów, ucieka ztamtąd jak najdalej. I nie wróci tam, dopóki ów odór będzie w jego korytarzu.

Niektórzy ogrodnicy dla pozbycia się kretów, zasypują również ich korytarze świeżem niegaszonem wapnem. Takiego wapna jak się tylko kret ryjkiem dotknie, natychmiast zdycha.

Że zaś kret robi więcej pożytku, jak szkody, dla tego tępić go bardzo nie należy.

A teraz posłuchajcie, jakie jest o krecie podanie ludowe. Po wsiach niektórych tak sobie gadają:

Było raz dwóch braci: każdy po ojcu odziedziczył pole. Młodszemu rola zarodziła śliczne zboże, starszemu wydała nędzne i mizerne.

Co tu robić? — myśli starszy — wmówię w brata, że tam, gdzie piękne jest zboże, jest moje pole. Udał się do mieszkania brata i zaprosił go, aby razem poszli oglądać urodzaje. Gdy młodszy brat wyraził swoją radość, że tak piękne ma tego roku plony, na to odzywa się starszy: »Jakże ty możesz mówić, że to twoje pole i twoje zboże? wszakże ja tu siałem i orałem. Jeśli masz jakąbądź wątpliwość o prawdziwości słów moich, poczekaj, ja cię przekonam, pole samo odpowie, że do mnie należy«.

Wspomnieć trzeba, że przebiegły brat starszy wykopał przedtem jamę w zbożu, ukrył tam syna swego, którego nauczył, ażeby na pytanie, czyje to pole, odpowiedział: »twoje«.

Zboże było wysokie, jama głęboka i zasłonięta tak, że ukrytego w niej chłopca zupełnie nie można było zobaczyć. Otóż stanęli obaj bracia tuż przy zbożu, a starszy donośnym głosem się pyta: »Słuchaj, czyje to pole?« »Twoje« — odpowiedział na to głos z ziemi.

»Wobec takiego cudu« — odpowiedział skromny brat młodszy — »niechże to pole będzie twoją własnością, a ja zatrzymam tamto liche i mizerne«.

Obaj bracia wrócili, każdy do swojej chatki. Chciwiec był niezmiernie ucieszony, że mu się udało podejść i oszukać brata młodszego. Zadziwiło go jednak, że godzinę całą był już w domu, a syn dotąd nie wracał z pola. Czekał jeszcze godzinę, drugą również nadaremnie. Wraca znowu w pole, przychodzi na miejsce, gdzie syna ukrył, a tam z głównej jamy prowadzą nory i chodniki na wszystkie strony. Syna też zobaczył, ale go poznać nie mógł i wierzyć nie chciał, żeby to był syn jego, bo oto, by ukarać chciwego ojca, Pan Bóg chłopca jego zamienił w kreta.

Odtąd — opowiada lud — istnieje kret i ryje w ziemi i łapki przednie ma nieco podobne do rąk ludzkich.

O SZTUCE INTROLIGATORSKIEJ.

Sztuka zeszywania książek jest bardzo dawną i jak wszystkie inne wynalazki powoli doszła do tej doskonałości, w jakiej ją dziś widzimy. Czasu powstania jej niepodobna ściśle oznaczyć, ale z pewnością twierdzić można, że sięga bardzo odległego czasu. Dopóki ludzie myśli swoje ryli na tablicach kamiennych i metalowych, lub na cienkich deseczkach, woskiem powlekanych, dopóty naturalnie i nie było mowy o zeszywaniu książek. Ale gdy wynaleziono pargamin i używać go zaczęto jako materyał do pisania, kiedy spisywanie wielkich wydarzeń i innych ciekawych rzeczy bardziej się upowszechniło, uczuto potrzebę zabezpieczenia zapisanych kart od zniszczenia i zaczęto wynajdywać sposoby, jakby te karty dla potomności przechować. Arkusze więc pargaminowe zwijano na drewniane lub kościane wałki, obwijano je z wierzchu w ogromne zwity czyli pokrowce. Była to pierwsza myśl do introligatorskiego rzemiosła, tak dziś wybornego i ozdobnego. Starożytni Grecy i Rzymianie, prócz wałków i pokrowców, zabezpieczali swe pisane zwity pargaminowe, chowając je w puszki z drzewa cedrowego lub jakiego innego kosztownego materyału.

Ale wkrótce okazało się to niedostatecznem; jeżeli dużo zapisanych było arkuszy, to dla grubości nie można ich było dobrze zwijać, a do tego, że bez obwinięcia z łatwością mogły być uszkodzone, przyłączyła się druga jeszcze niedogodność, że arkusze często wychodziły z kolejnego porządku i przez to nie jeden zginął. Ażeby temu zapobiedz, zaczęto arkusze zszywać. Pierwsi Egipcyanie zaczęli zszywać całe karty papyrusowe*) nicią w kształcie książek. Później weszło w życie składanie kart. Większe arkusze pargaminowe składano albo pojedyńczo, albo wielokrotnie, przez co powstały powoli formaty dzisiaj używane.

*) Papyrus roślina, której szerokie liście w starożytności do pisania używano; ztąd poszło słowo papier.

W pierwszych czasach chrześciaństwa, oprawianie książek było zatrudnieniem zakonników, tak jak samo pisanie i przepisywanie ksiąg prawie wyłącznie w klasztorach się odbywało, kiedy jeszcze nie wymyślono druku. Mało też było w owych czasach oświaty, rzadko kto ze świeckich ludzi czytać i pisać umiał, i książki niezmiernie były drogie. Tylko w duchownym stanie, a zwłaszcza w zakonnym była nauka; więc zakonnicy poświęcający się pisaniu i oprawianiu ksiąg, wielkie mieli znaczenie i nie małe też ztąd dochody. Jeden zakonnik angielski nazwiskiem Herman, zręczny pisarz i introligator książek, wyniesiony nawet został do godności biskupiej. Zakonnicy oprawiali książki w następujący sposób: pojedyńcze arkusze zszywali u grzbietu i w około całej księgi dawali okładkę z pargaminu: spodnia strona okładki zakładała się na wierzchnią, tak iż karty zabezpieczone były ze wszech stron. Jeszcze dzisiaj w archiwach starych klasztorów widzieć można rękopisma oprawione w taki sposób. Później zamiast okładek pargaminowych, używano deszczułek drewnianych; był już wtedy znaczny postęp w introligatorskiej sztuce.

Jak o trwałość oprawy, poczęli się z czasem starać zakonnicy i o upiększenie. Okładki ozdabiano malowidłami, dawano ładne narożniki, herby, cyfry i floresy metalowe z miedzi i z mosiądzu, ze srebra i złota. Są jeszcze księgi ewangielii z dawniejszych wieków, wysadzane nawet drogimi kamieniami. Że wszystkie ozdoby te mieściły się nie na grzbiecie (jak teraz), lecz na okładce, pochodzi zapewne ztąd, że w owym czasie nie ustawiano książek w ścieśnionych rzędach, lecz że one, tak jak owe zwity starożytne, składano na półkach jedną obok drugiej.

Najdawniejszym wzorem oprawy sposobem powyżej opisanym, jest psałterz saski. Zszyty on jest skórzanymi rzemykami, oprawny w deseczki dębo-

we, okute mosiądzem. Najsławniejszym zaś zabytkiem gustu starodawnego introligatorstwa jest Mszał Bedfodrski księcia Jana Bedford. Ozdobiony on jest 59 wielkiemi malowidłami, jest z drobnych figur, a litery niebieską i złotą farbą pisane. Ząb czasu i chciwość ludzka, nie wiele podobnych ksiąg nam zostawiły. Jeden z takich zabytków zasługuje na wzmiankę, gdyż należy do najbogatszych opraw. Jest nim tak zwana złota książka do nabożeństwa królowej węgierskiej Elżbiety. Oprawiona jest w prawdziwe złoto, a okładki ma ozdobione kosztownemi malowaniami. Królowa nosiła tę książkę na złotym łańcuchu u pasa.

Wszystkie te udoskonalenia w introligatorstwie, jak wyżej powiedzieliśmy, pochodziły z klasztorów. Później, gdy sztuka drukarska wynalezioną została, a przez nią liczba książek znaczniej powiększać się zaczęła, nie mogli już zakonnicy nastarczyć wielostronnym żądaniom co do oprawy ksiąg. Wtedy też i inni próbowali tej sztuki, i tym sposobem introligatorstwo stało się z czasem osobnym fachem rzemieślników cechowych. Ci z początku skierowali swą uwagę mniej na kosztowność i wygodę oprawy, a więcej na jej trwałość. Na okładki używano wciąż deszczułek, które powlekano pargaminem lub świńską skórą, a ponieważ takie okładki ulegały spaczeniu, przeto ściskano je metalowemi klamrami i zameczkami.

Pod koniec 15-go wieku, poczęto oprawiać książki lżej i piękniej: okładki drewniane zaczęły znikać i zastępowano je tekturowemi; zamiast świńskiej skóry, powlekano je miększą skórą cielęcą. To ulepszenie wyszło z Francyi. Ponieważ arkusze pojedyńcze są zwykle z przodu nierówne, zaczęto je obrzynać; początkowo nożem, później lepszemi narzędziami. Na powierzchni takiego obeznięcia, łatwo było dawać ozdoby, przeto je malowano lub złocono; i na okładkach samych dawano także złocone ozdoby. Takim sposobem powstała oprawa w skórę i w półskórek. Pierwsze podobnie oprawne książki pochodzą z 17 wieku, to jest lat temu blisko trzysta.

Pierwszym znaczniejszym postępem w introligatorstwie nowszych czasów, było używanie oprawy w safian. Już dawniej był on w użyciu za króla węgierskiego Macieja Korwina, ale w modę wprowadził go dopiero Jan Gralier podskarbi Franciszka I króla francuzkiego. Pojedyńcze egzemplarze z biblioteki Graliera pochodzące, z powodu pięknej oprawy, płacone są po nadzwyczajnie wysokich cenach; podobizna dzieła »Historia piscum« przez Salviana, niedawno jeszcze kupioną została za 200 talarów. W ciągu 18 stulecia pracowano skrzętnie nad poprawieniem i upiększeniem oprawy książek. Jednem z najpraktyczniejszych ulepszeń jest wprowadzenie tak nazwanego napiłowania grzbietu. Jest to rowek zrobiony piłą na grzbiecie kart, przez który przeprowadza się zszywanie. Tej nowości introligatorowie sprzeciwiali się z początku, ale wkrótce przekonali się o jej wartości praktycznej i wprowadzili ją wszędzie w użycie. Nasza epoka postępu, epoka maszyn i pary, sprowadziła także w introligatorstwie mnóstwo ulepszeń; rzemiosło to coraz bardziej do sztuki się zbliża; przekonywają o tem przepyszne oprawy na wystawach przemysłowych, w Berlinie, Wiedniu, Londynie, Paryżu itd. Postęp i oszczędzanie ręki ludzkiej, są to zadania, którym wszystkie bez wyjątku rzemiosła poddać się muszą. Tak też i w introligatorstwie książkowem, w fabrykacyi galanteryjnych robót introligatorskich, maszyny coraz większą grają rolę, tak dalece, że nawet niezamożny majster w małem miasteczku niedługo się bez nich obejść nie potrafi.

W Polsce sztuka introligatorska od wieków była uprawianą. W Krakowie i Warszawie introligatorowie stanowili nawet osobny cech i zwali się: »Introligatores, complanatores seu compactores librorum«, którzy po zaprowadzeniu drukarń, zanim powstały wyłącznie księgarnie, nietylko oprawiali książki, ale je także i sprzedawali.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Druzowie uszli już kawał drogi, szepnął Maron swemu przyjacielowi:

— Przywołaj ich raz jeszcze i zapytaj, którą wieś maronicką pragną najpierw napaść. Gdy ci to powiedzą, natenczas rozkaż szejkowi ich, ażeby wstrzymał się z napadem, dopóki z nim nie będziesz mówił.

Ali pospieszył za wysłańcami i przywołał ich z powrotem. Gdy się zbliżyli do niego, rzekł im:

— Nieprawda, najpierw pragniecie uderzyć na klasztor Deiz Seman?

— Nie, Panie, — odpowiedział zadziwiony Druzyjczyk. — Nasz szejk pragnął jeszcze tej nocy wyruszyć do Deir el Kamor. Tam zgromadzi się 6000 Druzów, ażeby bogate miasteczko napaść znienacka.

— Dobrze, — odpowiedział Ali, — powiedz twemu szejkowi, że napad został odłożony; ma on oczekiwać w każdym razie mego przybycia.

— Dobrze, doniesiemy mu o tem, — odpowiedzieli Druzowie i pociągnęli dalej.

Gdy Ali powrócił do chaty, pyta Maron:

— Którą wieś pragną najpierw napaść?

— Na Deir el Kamor pragną z 6000 chłopa znienacka uderzyć, — odpowiedział Ali.

— Deir el Kamor! — powtórzył Maron zdumiony, — tam mieszka mnóstwo Maronitów! Gdyby się to Druzom udało, natenczas krew strumieniami polałaby się. Musimy Maronitów ostrzedz i szybko udać się tamdotąd.

— Drogi jednak, jak mi się zdaje, — mówił Ali — będą już zapewnie obsadzone przez gromadzących się Druzów.

— To jest prawdą — odpowiedział Maron; — pozostawię cię tu zatem z mą matką i siostrą, a sam pobiegnę do Deir el Kamor. Muszę sobie całą rzecz jeszcze dobrze rozważyć. Teraz odkup pasterzowi szybko 30 kóz i zapłać mu sowicie. Ażeby nie powziął żadnego podejrzenia, powiedz mu, że twoi towarzysze ich potrzebują. Odkup mu także wszystek chleb, który ma jeszcze w zapasie.

W tej chwili wszedł pasterz z dwoma czarkami mleka i wielkim bochenkiem chleba, usiadł przy Alim, mówiąc:

— Jedz i pij, mój młody panie; niechaj Ałłah ci błogosławi.

Następnie jednak począł spoglądać z zadziwieniem naokół siebie, pytając Marona, co się z Druzami stało. Tenże odpowiedział, że młody pan jego wysłał ich do Diezzin z poselstwem. Pokrzepiwszy się należycie, oświadczył staremu pasterzowi, że ma tak piękne kozy, iż pragnie mu z 30 tychże odkupić. Z początku nie chciał stary człowiek wcale temu wierzyć i z pewnem niedowierzaniem wpatrywał się w Alego. Gdy jednak ujrzał złote pieniądze, wtedy rozradował się nadzwyczaj, wołając:

— Ach, młody człowieku, was tu Ałłah przysłał z pewnością. Ja ciągle żyłem w obawie, że przeklęci, bezbożni Maronici ukradną mi takowe. Złoto w tych niespokojnych czasach jest pewniejsze i takowe można zakopać. Nikt go natenczas nie odnajdzie.

Powoli zbliżyła się noc. Ali rozkazał pasterzowi, ażeby kozy powiązał, po dziesięć razem i popędził ku górze. Także i chleb wszystek, który miał jeszcze przy sobie, włożył do worka i kazał go nieść swemu przyjacielowi Maronowi. Następnie przy świetle księżyca weszli na stromą górę, na tę samą, na której, jak mówił Ali, pozostali towarzysze jego. Maron i Ali postępowali bardzo szybko, tak, że staremu pasterzowi ledwo oddechu starczyło. Cie-

szył się więc niezmiernie, gdy Ali w pobliżu jaskini powiedział mu, że może nawrócić. Kazał mu poprzednio jedynie kozy przywiązać do drzewa, z pod którego towarzysze jego takowe sobie zabiorą.

Skoro się starzec oddalił, pobiegli obaj przyjaciele z radością do jaskini, gdzie ich również z radością przyjęto. Teraz podzielili się zbiegowie w drobne gromadki po dziesięć kobiet i dzieci i każda gromadka otrzymała trzy kozy i wielki bochenek chleba na podróż. Wdowa powiedziała im, że winni uciekać na najwyższe góry i wszędzie ostrzegać Maronitów. Podziękowawszy jeszcze z łzami w oczach wdowie za ratunek, porozchodzili się rozmaitemi drogami wśród cichej nocy w góry. Gdy wszyscy już byli dość daleko, oświadczył Maron swej matce, że pragnie się udać do Deir el Kamor, ażeby mieszkańców ostrzedz przed grożącem im niebezpieczeństwem.

— Pięknie, mój synu, sobie postępujesz, — rzekła stara matka, — idź i ratuj twych braci. My pozostaniemy lepiej w naszej jaskini, dopóki nie powrócisz.

Właśnie co tylko pragnął Maron uścisnąć swą matkę na pożegnanie, gdy naraz nadepnął na twardy, krzywy, śpiczaty jakiś przedmiot. Podniósł takowy, i poznał, że był to róg kozi.

— Nie, matko, — zawołał, — tu pozostać nie możecie. Ja przeczuwam, że pasterz kóz już dawniej przebywał w tej jaskini. Mógłby on tu znowu powrócić, ciebie matko ujrzeć i zdradzić następnie.

— W takim razie idziemy z tobą, — rzekła wdowa z stanowczością; — być może, że taka jest wola Boża i znakiem, że się już rozstać ze sobą nie mamy.

Odpocząwszy jeszcze małą chwilę po trudach ostatnich godzin, wybrali się wszyscy tej samej nocy jeszcze w podróż do Deir el Kamor.

Ponieważ nosili tureckie ubranie, dla tego bez wielkiego niebezpieczeństwa mogli wybrać najkrótszą drogę, która prowadziła w pobliżu kilku wsi Druzów. Tu i owdzie mieszkający Maronici z pewną nieufnością spoglądali na nich. Każdemu z nich jednak potrafili dowieść, że są chrześcianami i przestrzegali go przed grożącem niebezpieczeństwem. Z wdzięczności za to podarował im pewien bogaty Maronita dobrego mułu, ażeby starej kobiecie łatwiej przyszło odbyć tak daleką podróż. Poselstwo, jakie przywiózł Ali szejkowi Druzów pod Diezzin wstrzymało tegoż rzeczywiście, tak że drogi wolne były od uzbrojonych Druzów.

W drodze do Deir el Kamor, mówił Ali do swego przyjaciela:

— Maronie, zkąd ci to przychodzą do głowy tak mądre myśli i rady w każdem niebezpieczeństwie?

— Takowe przychodzą od Ducha świętego, którego mam w sercu, i którego pomocy wzywam, — odpowiedział Maron.

— I jabym Ducha świętego pragnął mieć w mem sercu, — odpowiedział Ali.

— Skoro uwierzysz w Jezusa Chrystusa i każesz się ochrzcić, będziesz i ty miał w sercu Ducha św. Czy pragniesz być ochrzcony?

— Jeszcze nie, — odpowiedział Ali smutnie, i wzajemnie milcząc, pociągnęli dalej.

Noc powoli poczęła się kończyć, a na wschodzie począł świtać poranek. Był to czas, w którym muzułmanie odprawiać muszą trzecią swą modlitwę. Pięć razy bowiem musi się muzułmanin modlić: gdy słońce zachodzi, gdy nastąpi ciemność, gdy świtać zacznie, krótko potem gdy słońce w południe grzeje najsilniej i gdy słońce znajduje się pomiędzy wschodem a zachodem. Przy samym wschodzie słońca, w samo południe i przy zachodzie słońca nie wolno muzułmaninowi modlić się, ponieważ o tym czasie modlą się poganie, a Turek pragnie od poganina różnić się. Chwile modlitwy nie bywają zapowiadane dzwonieniem po meczetach, wywołuje je muezzin (rodzaj tureckiego kościelnego). Na wsi, gdzie tego wywoływania nikt nie słyszy, stósują się lu-

dzie pod tym względem do pory dnia i zawstydzają co do gorliwości niejednego obojętnego katolika. Rozciągają wtedy dywan, przeznaczony do modlitwy, zdejmują obuwie i wykonują modlitwy, zwracając się twarzą w stronę Mekki. Za wielki grzech poczytuje Turek przeszkadzanie w modlitwie.

Krótko przed zachodem słońca znajdowali się zbiedzy na końcu pagórka, zkąd roztaczał się widok na Deir el Kamor w dolinie. Spojrzawszy w tę stronę, ujrzeli jakieś wielkie wzburzenie w mieście. Mnóstwo ludzi chodziło po ulicach. Nie wiedząc, coby to znaczyć miało, pytali o przyczynę tego pewnego muzułmanina, który przed chatą swą odmawiał właśnie modlitwy.

Turek pochylony zerwał się nagle, spojrzał z gniewem na przeszkadzających mu, wołając:

— Czyście to są niewiernymi psami, że śmiecie muzułmaninowi w modlitwie przeszkadzać?

Gdy zbiegowie nie odpowiadali, przyskoczył do nich, wołając:

— Jesteście muzułmaninami, czy też nie?

— Nie! — odparł Maron stanowczo.

Wtedy Turek w straszny sposób począł złorzeczyć i przeklinać, w końcu podniósł kamień i rzucił go z wściekłością na nich. Stara wdowa została ciężko zraniona w czoło, tak, że krew się polała i biedaczka chwiać się na nogach poczęła. Maron i Ali przyskoczyli do wściekłego Turka, chcąc się pomścić za zniewagę. Wdowa jednak zawołała:

— Maronie, daj mi ten kamień, którym mnie uderzył.

Ze zdumieniem podał go Maron matce swej. Wdowa poczęła go całować, a rzucając go następnie w krzaki, mówiła:

— Niechaj Bóg nie karze go za ten grzech i niechaj mu go nie pamięta, jak ja na ten kamień więcej nie spojrzę, który odrzucam od siebie. Niechaj go Bóg za jego złorzeczenie błogosławi, jak nam błogosławi.

Następnie rozkazała swym dzieciom, ażeby jak najszybciej miejsce to opuścili.

— Maronie, powiedz mi, — pytał Ali z wielkiem wzruszeniem, — czyż to także Duch święty czyni, że wy przebaczacie waszym nieprzyjaciołom i błogosławicie im?

— Tak, — odpowiedział Maron drżącym głosem.

— Natenczas pragnę być ochrzconym, teraz wierzę! — zawołał Ali.

Rozradowani z powodu postanowienia swego wiernego doradcy i towarzysza zeszli wszyscy modląc się i Bogu dziękując, do doliny, i przyszli właśnie na czas, ażeby przynajmniej pewną i to większą część Maronitów w Deir el Kamor zachować od śmierci.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Tatar na Kaukazie. Kaukaz, kraina pomiędzy morzem Czarnem a Kaspijskiem, jest zbiornikiem rozmaitych szczepów. Liczą ich tam aż 8. Są nimi Czerkiesi, przebywający w północnej i północno-zachodniej stronie gór kaukazkich, ku morzu Czarnemu, czyli w tak zwanym obwodzie Kubańskim, w liczbie około 100,000. 2) Abchazi czyli Asegi, przez Rosyan zwani Abazińcami; należą tu jeszcze oprócz właściwych Abchazów także Dżygeci, Samsersakanie i Zebeldyńcy. Po wydaleniu się 1858 roku niektórych pokoleń tego szczepu do Turcyi, liczą dziś jeszcze Abchazi około 110,000 głów. 3) Ubychowie, w liczbie około 20,000, zamieszkali na południowych stokach gór kaukazkich, pomiędzy rzekami Chost i Sache i posiadłościami szczepu czerkieskiego Uałuchajców i abchazyjskiego Dżygetajców. 4) Suani, którzy wraz z Tuszanami, Pszawami i Chewsurami mówią narzeczami języka gruzińskiego. 5) Osseci, których język bezwątpienia należy do języków irańskich, szczepu indoeuropejskiego. 6) Ludów szczepu tureckiego lub tatarskiego, jak Nogajców, osiadłych za czasów Piotra Wielkiego nad Kubaniem i Kumą Paraczajów, na północno-wschodnich odnogach gór, Kunzyków, na zachód Czeczni, pomiądzy rzekami Terekiem i Sulakiem. 7) Czeczeńców, rozdzielonych na 21 rozmaitych pokoleń i szepów, liczba których w roku 1860 wynosiła około 120 tysięcy. Oprócz właściwych Czeczeńców na-

leżą tu Karobachali, Nasranowscy, Iczkereńcy i t. d. 8) Mało dotąd znane plemiona Lezgińców w Dangestanie. Najgłówniejszy język tych plemion jest awarski. Oprócz tego mówią one rozmaitemi innemi narzeczami.

ROZMAITOŚCI.

* **Karabela,** szabla krzywa, wąska, cienka i lekka, bez kabłąka przy rękojeści, bogato oprawna, której Polacy od czasów Zygmunta I używali do stroju uroczystego. Nazwa pochodzić ma od miasta Karbala (Kerbela), leżącego o 16 mil od Bagdadu, w okolicy którego wyrabiano szable podobne a miasto prowadziło niemi rozległy handel. Rękojeść karabeli bywała z kamienia drogiego, jaspisowa, agatowa, ametystowa, złotymi lub szmelcowanymi gwoździkami spajana. Karabel nie używano do boju a nawet rzadko do pojedynków. Stąd Wacław Potocki przygania tej modzie, pisząc:

Pókiśmy miecze, pałasze i kordy
Nosili, nie baliśmy się Ordy;
A gdy z karabelkami nastały czeczugi,
Nie orzą w Ukrainie i w Podolu pługi.

Czeczuga była to ozdobna szabla tatarska. Kupcy lwowscy zaopatrywali całą Polskę w ozdobną broń wschodnią. W dnie ślubów, pogrzebów, na pokojach królewskich, przy pierwszych odwiedzinach, na imieninach, przenosinach, szlachcic zawsze występował przy karabeli. Przez poszanowanie gospodarza nie odpasywał jej, dopóki o to przez niego poproszony nie był.

FRASZKI.

* **Po amerykańsku.** Pierwszy Amerykanin: W Baltimorze słyszałem zeszłego roku młodego fortepianistę, który palcami u nóg wygrywał prześliczne pieśni ludowe z wszelkiemi waryacyami.

Drugi Amerykanin: E, to jeszcze nic! Ja byłem, dwa lata temu, w Berlinie na koncercie. Jeden z grających na trąbie naśladował tak dokładnie hasło myśliwskie przy ściganiu jelenia, że pies myśliwski leżący właśnie pod drzwiami sali rzucił się jak szalony pomiędzy publiczność i omal, że nie rozszarpał pewnego pana imieniem Jeleń.

* **Dobrana para.** Chuda żonusia: Mój kochany, grubiejesz z dniem każdym, podczas gdy ja schnę, co dowodzi, że tobie dobrze, a mnie licho za tobą.

Tłusty mężulek: Widzisz, moja kochana, to zależy na tem, że ty mielesz językiem, a ja żołądkiem.

* **Na drodze.** Gdzież wy matko tego koguta niesiecie?

— Adyć paniczku, dawniej piał zawdy w sam północek, a teraz ciągiem o godzinę się spóźnia. Niosę go do zegarmistrza, żeby bestyją wyrychtował.

WYBORNY POMYSŁ.



1. Pan Jakób lubi zabawiać się wieczorem z przyjaciołmi pogadanką przy piwie. Nieraz posiedzenie takie trwa długo. Pan Jakób nie pamięta o przestrogach i prośbach żony, ale nigdy nie zapomni zabrać ze sobą parasola.



2. U drzwi mieszkania spotyka go gdy późno do domu wróci, kara gniewnej żony. Lecz Jakób przebiegły otwiera parasol i w ten sposób unika kary.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

liśmy mu cechę wybitną charakteru naszego. Gościnność, hojność i kolożeńskość, odbija się w tych usilnych zapraszaniach i częstowaniach.

Panowie polscy wyprawiali bardzo wspaniałe święconki; np. u wojewody Sapiehy w Dereczynie na Litwie takie zastawiono święcone: »Na środku stołu był baranek, wyobrażający Baranka Bożego z chorągiewką, a specyał ten dawano tylko paniom, senatorom, dostojnikom i duchownym. Stały 4 przeogromne dziki, to jest tyle ile części roku; w każdym z nich była wieprzowina czyli szynki, kiełbasy, prosięta. Kuchmistrz największą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało też 12 jeleni także całkowicie pieczonych ze złocistemi rogami, nadzianych rozmaitą zwierzyną, a mianowicie zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Na około były ciasta sążniste, tyle ile tygodni w roku, to jest całe cudne placki, mazury, żmudzkie pirogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za niemi było 365 babek, ile dni w roku, ozdobione napisami, że niejeden tylko czytał, a nie jadł.«

Traczyk krakowski i śmigust. W okolicach Krakowa, oraz w przyległych powiatach Galicyi i Królestwa Polskiego, w drugie święto wielkanocne młodzież chodzi po wsiach z traczykiem. Wł. Anczyc tak opisuje ów zwyczaj: »Kiedy się w najlepsze bawimy (we wsi Prądniku), nagle zabrzmiał śpiew:

Miły gospodarzu,
Wpuśćcie nas do izby,
Boć nas tu nie wielu,
Nie zrobimy ciżby.
Stoimy za drzwiami,
Jest Pan Jezus z nami.
Do izbynas puśćcie,
By my po śmiguście.
A dajcie, co macie dać,
Bo nam tutaj zimno stać.

Był to głos chłopców, niosących traczyka. Weszło najpierw trzech chłopaków, ubranych po wiejsku, ale na głowie mieli czapki papierowe ułańskie, na piersiach czerwone rabaty i na krzyż bandolety papierowe, a na nich pałasze drewniane i ładownice. Za nimi szło dwóch, niosąc drewnianego baranka, który trzymał w przednich łapkach piłę do rznięcia drzewa; na pamiątkę, że pan Jezus był niewinnym barankiem, i św. Józefowi pomagał w ciesiołce rznąć piłką. W około niego było mnóstwo gałązek choiny i bukszpanu. Postument był zaopatrzony jakąś maszyneryą z kółkiem, za którego obrotem baranek wciąż się kiwał, jakoby rznął drzewo, a kilka dzwoneczków wciąż dzwoniło. Oprócz tego szedł jeszcze jeden, niosący Bożą Mękę ubraną we wszelkie jej godła, dosyć zgrabnie wyrobione kozikiem. Nie brakowało nawet koguta, ulepionego z iłu i pomalowanego na żółto, z kilku prawdziwemi piórami w ogonie. Chłopcy śpiewali przytem różne pieśni.

Ledwie wyszli, rozległ się okrzyk: »Śmigust, śmigust.« Na to hasło rozbiegła się rzesza w okamgnieniu, a obecni zaczęli się wodą z dzbanów i konwi oblewać nawzajem, wśród wesołych krzyków, pisku kobiet i śmiechu mężczyzn. Zaczęły się wzajemne gonitwy i chlustanie wodą.

Śmigust, zwany także dyngusem, jest odwiecznym w Polsce zwyczajem. Dzieją się nieraz nadużycia, gdyż parobcy wrzucają czasem dziewczęta do sadzawki, albo oblewają przy studni wodą kubłami, co nieraz sprawia chorobę. Dobrze zachowywać przodków zwyczaje, ale nie wolno ich nadużywać, aby na tem cierpiało zdrowie bliźniego.

Rękawka. W trzecie święto wielkanocne wychodzą Krakowianie na górę Lasoty, uwieńczoną mogiłą Krakusa. Rano odbywa się w poblizkim kościele nabożeństwo, a po obiedzie ludowa zabawa. Zbierają się biedni ludzie, a najwięcej dzieci u stóp góry, którym z wierzchołka rzucają zebrani pierniki, orzechy i t. d. Dawniej rozdzielano tam ubogim resztki święconego. Rękawką dla tego zowie się ów obchód, gdyż lud po śmierci Krakusa znosił podobno rękawami ziemię na mogiłę dla dobrego księcia. Zdaje się, że podobny obchód istniał dawniej w Poznaniu, czego dowodzi tłumna pielgrzymka w drugie święto wielkanocne do kościoła św. Jana za miastem.

Gra w zielone. »Ta gra już niechwilowa, ale trwalsza, zaczyna się właściwie od drugiego święta wielkanocy, a trwa do św. Michała. Dwie osoby umawiają się, że przez ten czas, albo przez miesiąc, .tydzień zawsze zielone przy sobie mieć będą; listek, gałązkę lub coś podobnego; kto niema zielonego lub zwiędłe, płaci karę. Gra to. dzieci, przyjaźni, miłości, dająca sposobność robienia upominków; zowie się także mienione, gdyż trzeba często zmieniać zielone albo że między sobą tę zieloność grające osoby zmieniają. Zielone opisał wierszem Kochanowski:

Z tych drzew zrywam latorośle,
Te Maryni mojej poślę;
Zielonem niech się zabawi,
A niech słuszny zakład stawi.
Ta gra tem się prawem chlubi,
Komu zwiędnie, kto je zgubi,

Lub go zbędzie innym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem.

Zielone Świątki przypadają zawsze w tym czasie, kiedy w przyrodzie panuje ciepło i zieloność. Zdobiono dawniej i dziś po części świątynie Pańskie i domy zielonemi gałązkami, a na podłogę sypie się tatarak i różne ziele, ztąd zapewne powstała nazwa święta.

Drugi dzień Zielonych Świątek ma szczególne znaczenie dla Krakowa i Warszawy, gdyż wówczas ludność tych dwóch stolic wyrusza do klasztoru Bielany, gdzie w lesie używa świeżego powietrza i bawi się swobodnie. Są pod Krakowem Bielany nad Wisłą, odznaczające się malowniczem położeniem, są też i pod Warszawą.

W Maju rozpoczynają się ulubione wycieczki, zwane majówkami, które najwięcej mają uroku dla mieszkańców miast i młodzieży. Rozpoczynają się gry wiośniane, a mianowicie koła, rzucanki, kręglice, wyścigi i t. p.

Praktyczne rady.

Praktyczne rady. ...ı osiada pomiędzy podłogą a sufitem zniszczyć można w ten sposób, że się w suficie robi otwory i wpuszcza niemi gaz chloru, a potem otwory zalepia. Gaz ten niszczy wszelkie zarodki grzyba.

— **Czyszczenie małych beczułek od śledzi lub sardynek.** Beczułki lub cebrzyki do śledzi najpierw się dobrze kilka razy wyparzy, potem przez dłuższy czas muszą stać zupełnie wodą przykryte, którą codziennie zmięszać trzeba. Gdy dobrze wymokną, napełnia się je kapustą kwaśną, którą się z wierzchu zbiera przy myciu kapusty, gdy już jest zapełniona, pozostawia się tak kilka tygodni i potem znów dobrze wyczyści. W ten sposób smak i odor śledzi zupełnie zniknie i można je użyć do kapusty, do zachowania jej w wapiennej wodzie i t. d.

Rozmaitości.

* **Kot u Egipcyan** uchodził za największą osobliwość natury: posiadał roztropność, zwinność i chytrość, a z tymi przymiotami łączył jeszcze własności elektryczne, dar proroctwa i wstręt do wody, czyli do złego pierwiastku. Głos jego wydawał dźwięki odpowiadające imieniom bóstwa: Jeona i Miaon, z tego powodu uważano go za istotę boską i wzięto za symbol świętego języka. W każdej rodzinie kot zajmował miejsce honorowe, był czczony i pielęgnowany, a po śmierci wyprawiano mu suty pogrzeb. Podczas uroczystości dla ubłagania wylewu Nilu, wzywano bogów imionami kociemi. Człowiek, który najlepiej miauczał, uważany był za świętego.

* **O niezmiernie szybkim wzroście** miast amerykańskich najlepiej świadczy Chicago. Temu lat sześćdziesiąt stały tam, wśród niezdrowych bagien, trzy nędzne chaty z okrąglaków, zamieszkałe przez 30 ludzi. Dziś jest to miasto siódme z rzędu w liczbie wielkich grodów; urządza wystawę wszechświatową, posiada 1,250,000 mieszkańców, domy dwunasto a nawet dwudziesto-piętrowe. Z rozwojem miasta wzrosła cena planów; w Nowym-Yorku żyje mekler, Williams, który niegdyś kupił w Chicago plac za 1,200 rs. a po latach dwudziestu sprzedał go za 80,000 rs. Zdawało się, że zrobił świetny interes, tymczasem dziś wartość placu wynosi 35,000,000 rs.

ZAGADKI.

1.

Ojciec liczy 25-go Grudnia 71, syn w tym samym dniu 34 lata. Kiedy był ojciec trzy razy starszym od syna, a kiedy syn ma połowę lat ojca?

2.

Imię i nazwisko poety składa się z 15 głosek, które oznaczymy arabskimi liczbami od 1—15. Każda liczba oznacza odnośny porządek głoski. Pojedyncze liczby oznaczają:

1 3 8 oznacza pewną czynność człowieka;
5 6 13 14 15 słynny polski mąż z wieku 16-go wielki prawodawba;
7 6 10 11 14 przynęca ludzi zwierzęta;
2 3 12 11 1 oznacza epokę w życiu ludzkiem;
13 14 15 10 6 oznaczenie kawałka chleba.

Któryż to poeta?

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9:

1.

Szachraj.

2.

A	**S**	t	e	f	a	n
B	K	**A**	u	k	a	z
C	B	o	**H**	d	a	n
D	M	i	l	**A**	n	a
E	K	o	m	a	**R**	y
F	J	a	n	i	n	**A**

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Aleksander Karczyński z Pelplina; Józef Knopp z Zabrza; A. Olejniczak z Kołodziejowa; Antoni Rygulla z Szopienic; Antoni Kurtz z Sowińca p. Mosiną; Oleńka i Jeremi Gryglewicz z Jutrosina; Jan Szulc z Gniezna; Stanisław Stankiewicz Słupia p. Kempno; Jan Badura z Rozdzienia; Jan Musiałkowski z Powidza; A. Głazowski z Rozbarku.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.